

# Niewidzialni

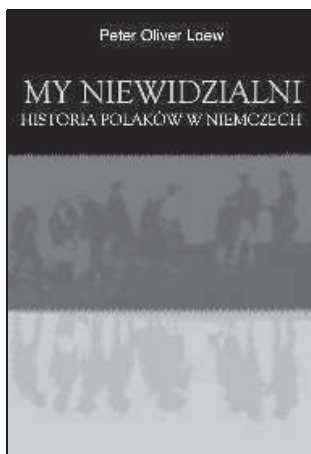
Marcin Wiatr

POLACY w Niemczech mogliby uchodzić za imigrantów na pokaz. Są tak dobrze zintegrowani, że aż niewidzialni. A mimo to są obecni – tak o historii Polaków w Niemczech pisze Peter Oliver Loew.

W 1888 r. uciekając przed carską policją przedarła się do Mysłowicz, wówczas granicznego miasta na pruskim Górnym Śląsku nieopodal miejsc, gdzie stykały się cesarstwa Prus, Austrii i Rosji, a następnie, po pobycie w Zurychu, osiadła w Niemczech. Urodzona w 1871 r. w rodzinie żydowskiej w kongresowym Zamościu Róża Luksemburg, od 1897 r. mieszkająca w Berlinie, a potem w Dreźnie, uciekła z kraju, który w wyniku rozbiorów zniknął w 1795 roku z map Europy. Ta legendarna działaczka polskiego ruchu robotniczego i nieprzebiegająca w słowach rzeczniczka niemieckiej socjaldemokracji jest tylko jedną z wielu niewidzialnych imigrantów rodem z Polski, którzy odcisnęli piętno na niemieckiej historii.

Ten fenomen nie odnosi się bynajmniej tylko do Prus, których wschodnie prowincje, a zwłaszcza ziemie porozbiorowe, zamieszkiwało około 40 procent poddanych posługujących się na co dzień językiem polskim. Ani do porozbiorowej austriackiej Galicji czy też zdominowanych przez niemieckie elity Czech, dokąd na początku XVIII wieku ze wschodnich terenów byłej Rzeczypospolitej przenieśli się przodkowie... Franza Kafki, o czym w ostatnim tomie swej monumentalnej biograficznej trylogii przypomina wybitny niemiecki literaturoznawca Reiner Stach (*Kafka. Die frühen Jahre* (2014), *Kafka. Die Jahre der Entscheidungen* (2008), *Kafka. Die Jahre der Erkenntnis* (2002)).

Można by niemal w nieskończoność wymieniać kolejne losy znamienitych imigrantów o polskich, w tym również polsko-żydowskich korzeniach. Wystarczy w tym celu sięgnąć po biografie polskich księżniczek, które w średniowieczu wydawano za niemieckich królewiczów, po kariery pochodzących z Rzeczypospolitej lub też tam wykształconych rabinów, którzy w XVIII wie-



ku na ziemiach niemieckich odegrali przemożny wpływ na rozwój żydowskiego ruchu odrodzenia (haskala), po losy „idących na saksy” polskich robotników sezonowych i górników, którzy w XIX wieku masowo przybywali do Zagłębia Ruhry. Obraz uzupełniają Polacy zapędzeni do Niemiec do pracy przymusowej podczas drugiej wojny światowej, (późni) wysiedleńcy okresu powojennego oraz „nowi” polscy imigranci, napływający do Niemiec po wprowadzeniu stanu wojennego, a potem po przystąpieniu Polski do Unii Europejskiej. W tej masie imigrantów wypada odnotować wielu polskich szlachciców, artystów, intelektualistów i pisarzy, przybywających od co najmniej XV stulecia na ziemie niemieckie, by tu przez pewien czas żyć, kształcić się czy też osiąść na stałe.

Wielu z nich trwale wpisało się w dzieje niemieckiej gospodarki, nauki i kultury. Ich obecność wcale nie była tak niewidoczna, jak może to podpowiadać perspektywa dnia dzisiejszego. Oto przejazd kilkunastu tysięcy polskich oficerów i żołnierzy, uciekających z Kongresówki po zdławionym przez carskie oddziały powstaniu listopadowym z lat 1830–31 i przemierzających Saksonię, Hesję, Badenię, Bawarię czy Wirtembergię w poszukiwaniu schronienia, wzbudził w Niemczech ogromną sensację, przybierając formę tryumfalnego pochodu.

Niemiecka opinia publiczna, głównie mieszczańska, która ze sceptycyzmem czy wręcz jawną niechęcią obserwowała panoszenie się Prus, dostrzegła w pokonanych powstańcach bohaterów uosabiających ich własne nadzieje na liberalizację kraju i demokratyzację Europy. Głównym wydarzeniem owego „zauroczenia Polską” była uroczysta demonstracja w maju 1832 r. na zamku w Hambach, a także fala blisko tysiąca pieśni o Polsce, których autorami byli tacy pisarze i poeci niemieccy, jak Nikolaus Lenau, Adelbert von Chamisso, August von Platen, Franz Grillparzer i Annette von Droste-Hülshoff. Mimo tych, jak i wielu innych, przejawów solidarności i wzajemnej sympatii polski wkład w dzieje kultury i histo-

rii Niemiec jest dziś prawie nieobecny w kolektywnej pamięci Niemców (podobnie zresztą jak i w polskiej pamięci zbiorowej).

Któż jeszcze (z pominięciem niewielu specjalistów) po obu stronach Odry pamięta, iż sławny polski poeta okresu renesansu Jan Kochanowski w latach 1551–52 studiował w Królewcu; że pochodzący z okolic Gdańska teolog Daniel Ernst Jabłoński, który od 1693 r. pełnił funkcję nadwornego kaznodziei w Berlinie, wraz z Gottfriedem Wilhelmem Leibnizem był współzałożycielem Pruskiej Akademii Nauk; albo że wielkopolski ziemianin hrabia Atanazy (Athanasius) Racyński, skądinąd wybitny dyplomata w służbie Prus, w 1844 r. przy ówczesnym Königsplatz w Berlinie, a więc miejscu, gdzie dziś stoi budynek niemieckiego parlamentu, wybudował pałac, w którym uostępnił berlińskiej opinii publicznej swoje słynne zbiory sztuki współczesnej? Albo że Jan Henryk Dąbrowski, twórca legionów walczących u boku młodego generała Bonapartego, był synem saskiego oficera i dzieciństwo spędził w górnołużyckiej Hoyerswerdzie? Albo że wraz z końcem drugiej wojny światowej w dolnosaksońskim miasteczku Haren, które od tej pory do 1948 r. zwało się najpierw „Lwów”, a potem „Maczków”, dla około czterech tysięcy byłych więźniów tutejszego obozu i robotników przymusowych powstała „polska enklawa” z dwoma teatrami, których spektakle reżyserował słynny polski krytyk teatralny (zresztą o austriackich korzeniach) Leon Schiller? Albo że głównym miastem, z którego najbardziej wpływowi polscy intelektualiści przebywający na emigracji prowadzili walkę z propagandą komunistycznego reżimu nie był wcale Londyn czy nawet Paryż, lecz Monachium? Albo że jeden z najbardziej znanych w Niemczech producentów filmowych, Artur Brauner, któremu zawdzięczamy klasyczną już ekranizację powieści Karola Maya, pochodzi z Łodzi? Jeśli teraz ktoś z niedowierzaniem kręci głową, to źródła pocieszenia może upatrywać jedynie w tym, że fakty te zaskakują nie tylko samych Niemców. Także bowiem

wśród większości Polaków – nie tylko tych mieszkających w Niemczech – są słabo znane.

To efekt nie tylko zaniedbań ostatnich kilkudziesięciu lat. Już bowiem Prusy, które w XIX wieku były *de facto* państwem obojga narodów, niemieckiego i polskiego, czyniły wiele, by utrudnić udział zarówno polskich chłopów, jak i przedstawicieli szlachty czy ziemiaństwa we wspólnej, choć narzuconej, państwowości. Podobnie brakło gotowości do uznania kulturowych aspiracji pruskich Polaków w dziedzinie edukacji i administracji. Choć i tu bywały przecież wyjątki warte odnotowania.

Oto hrabia Bogdan Hutten-Czapski (1851–1937), polski arystokrata pochodzący z wielkopolskiej rodziny o silnie zakorzenionych tradycjach patriotycznych, swoimi poglądami politycznymi, zwłaszcza w kwestii stosunków polsko-niemieckich, daleko odbiegał od tych, jakie panowały w Prowincji Poznańskiej. Kosmopolityczne wychowanie i wykształcenie sprawiło, że Hutten-Czapski – choć szanował polską tradycję narodową – daleki był od jej kontynuowania. Czuł się nie tyle Polakiem, co obywatelem państwa pruskiego narodowości polskiej. A był przecież synem Józefa Napoleona Czapskiego, uczestnika powstania listopadowego, który po jego upadku aktywnie działał w strukturach emigracji popowstaniowej, i Laury (Eleonory) Czapskiej, *primo voto* Czarneckiej, z domu Mielżyńskiej, pochodzącej z jednej z najznamienitszych rodzin wielkopolskich. Warto podkreślić, że język niemiecki, który stał się dla niego podstawowym językiem edukacji, należał do kanonu przedmiotów, których się uczył i nie było to bynajmniej skutkiem polityki germanizacyjnej prowadzonej w Wielkopolsce, a zdecydowanie efektem jego świadomego wyboru. Nauki w języku niemieckim Hutten-Czapski nigdy nie traktował jako narzuconego obowiązku.

W 1876 r. wstąpił do armii pruskiej. W maju 1882 r. na rok został oddelegowany do ambasady niemieckiej w Paryżu, a od sierpnia 1884 r. przez nie-

mal rok pełnił obowiązki adiutanta namiestnika Edwina Manteuffla w Strasburgu. Do czynnej służby powrócił dopiero wraz z wybuchem I wojny światowej. W 1895 r. uzyskał dożywotnie miejsce w pruskiej Izbie Panów (Herrenhaus). Dzięki bardzo aktywnemu życiu towarzyskiemu posiadał już wówczas rozległe kontakty niemal we wszystkich kręgach społeczeństwa niemieckiego. Specyficzne były natomiast jego relacje z Polakami. Jako student nie przepadał za towarzystwem polskich studentów, wręcz stronił od nich, zdecydowanie wybierając towarzystwo kolegów niemieckich. Bywał wprawdzie w domach polskich arystokratów, jednakże większość z nich nie stanowiła dla niego atrakcyjnego towarzystwa.

Natomiast wydarzeniem wielkiej wagi było dla hrabiego Hutten-Czapskiego zjednoczenie Niemiec. Politycznego twórcę tego dzieła, Otto von Bismarcka, podziwiał i darzył wielkim szacunkiem. Prawdziwą falę oburzenia w środowisku polskim wywołało jedno z jego publicznych przemówień z 1888 r., odnotowane w jednym z majowych wydań *Norddeutsche Allgemeine Zeitung* i *Kuriera Poznańskiego*. Hutten-Czapski mówił wówczas: ...*żelaznego księcia Ottona Bismarcka niech Bóg raczy długo, niech go Bóg zachowa Cesarzowi jako doradcę, państwu jako ochronę, ludowi jako przywódcę, pokojowi jako tarczę bezpieczną, a wrogowi na postrach! Kanclerz ks. Bismarck niech żyje.*

Jeśli już krytykował „żelaznego kanclerza”, to nie za politykę antypolską, lecz za wywołanie *Kulturkampf* jako zjawiska wpływającego na osłabienie państwa. W pełni zgadzał się natomiast z założeniami polityki kanclerza względem Polaków. Uważał, iż wszyscy obywatele Cesarstwa Niemieckiego, i to bez względu na narodowość, powinni działać dla wspólnego dobra powstałego państwa. Uważał, że należy je scalać, a niemieczyń zdecydowanie umacniać. Jednocześnie wierzył, że można to zrealizować szanując języki i tradycję narodową innych (niż niemiecka) społeczności zamieszkujących ziemie wchodzące w skład Rzeszy.

W zasadzie nawet sam wybuch I wojny Światowej nie stał się dla hrabiego z pruskiej Wielkopolski cezurą, bowiem nie podjął on walki o niepodległe państwo polskie. W jego poglądach i planach zawsze pojawiało się państwo polskie połączone ścisłym związkiem z Niemcami. Co prawda nigdy nie wyrzekął się narodowości polskiej, ale choć wielokrotnie miał możliwość zmanifestowania przywiązania do niej i zajęcia postawy godnej tradycji rodzinnej, nie uczynił tego. Wiernie wypełniał obowiązki poddanego króla pruskiego i cesarza niemieckiego. Z dumą nazywał się „Prusakim” i „Niemcem”. W jego wypowiedziach zawsze pojawiała się określenie „my Niemcy”.

Ta lojalistyczna postawa wobec władz pruskich sprawiła, że hrabia Hutten-Czapski nie był najlepiej postrzegany przez społeczeństwo polskie, zwłaszcza wielkopolskie. I tak jest z grubsza do dziś. Nie zmienia tego fakt, iż Hutten-Czapski pogodził się z sytuacją, gdy Wielkopolska (a wraz z nią jego włości) znalazła się w granicach odrodzonego państwa polskiego. Zaakceptował ten fakt i zapowiedział, że zrobi wszystko, by stać się dobrym obywatelem.

Biografia Hutten-Czapskiego obrazuje zresztą pewien podstawowy dylemat związany z wiedzą o Polakach w Niemczech i jej popularyzacją w Polsce. Dylemat ten polega na tym, że słabo pamiętamy o tych Polakach czy obywatelach niemieckich o polskich korzeniach, którzy afirmowali państwo niemieckie jako własne. Dla wielu wciąż łatwiej zaakceptować pamięć o Niemcach, którzy wybrali polskość. Jednym z wielu jest np. urodzony w 1884 r. w Brandenburgii pod Berlinem Joseph von Unruh, syn pochodzącego z Wielkopolski generała majora gwardii pruskiej Tadeusza Gustawa Unruha (Unru-ga). Joseph Unruh, który jeszcze podczas I wojny światowej był dowódcą okrętów podwodnych w Kaiserliche Ma-

rine, po odzyskaniu przez Polskę niepodległości osiadł w swym majątku w Wielkopolsce i w 1919 r. wstąpił do Wojska Polskiego. Choć wówczas mówił lepiej po niemiecku niż po polsku, w 1925 r. objął stanowisko dowódcy Floty w Gdyni, a we wrześniu 1939 r. kierował Obroną Wybrzeża. Po wyjściu z niewoli niemieckiej wyemigrował do Wielkiej Brytanii. Po 1945 r. nie powrócił już do kraju opanowanego przez komunistów.

Oczywiście, na polską pamięć o „niemieckich Polakach” i „polskich Niemcach” nałożyły się procesy mentalne i wydarzenia polityczne schyłku XIX i pierwszych dekad XX stulecia, w tym obie wojny światowe i ich następstwa. Wszystkie one kładły się cieniem na percepcji pozytywnych stron polskiego udziału w niemieckiej (ale przecież i niemieckiego udziału w polskiej) historii i społeczeństwie.

Dziś obecności Polaków w Niemczech nie da się już pominąć – czy jako fachowców na budowach, czy jako pielęgniarek i wysoko wykwalifikowanych specjalistów w niemieckich szpitalach, albo w coraz większym stopniu jako ludzi sztuki i nauki (wystarczy wspomnieć Adama Szymczyka jako kuratora słynnej wystawy *Documenta 14* w Kassel). Tak, Polaków nie da się już pominąć, nawet jeśli się ich dorobku i działalności po zachodniej stronie Odry z reguły nie dostrzega.

Tę polską „niewidoczność” można rzecz jasna próbować tłumaczyć otwartym czy też skrytym ukrywaniem naciskiem na asymilację, który aż do późnych lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku dominował wśród niemieckiego otoczenia. Bardziej wymowny jest jednak fakt, że polskojęzyczni współobywatele najwyraźniej nie odczuwają potrzeby angażowania się w działalność organizacji polonijnych w Niemczech, szczególnie tych, w których dominują niespełnione ambicje polityczne. Przypisują one Polakom w Niemczech rolę ofiary, wskazując na rzekomą dyskryminację ze strony niemieckiego państwa i domagając się przyznania rozpierchniętej po całym kraju niemieckiej Polonii statusu „mniejszo-

---

**Peter Oliver Loew, *My niewidzialni. Historia Polaków w Niemczech*, tłum. Justyna Górny, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2017.**

ści narodowej”, analogicznie do praw i przywilejów mniejszości niemieckiej w Polsce. Jak więc naprawdę kształtuje się dzisiejsza sytuacja „Polaków w Niemczech”?

Te właśnie kwestie porusza Peter Oliver Loew w swej książce *My niewidzialni. Historia Polaków w Niemczech*, która ukazała się niedawno nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego. Niemieckie wydanie, opublikowane w 2014 r., spotkało z żywym zainteresowaniem, o czym świadczą liczne spotkania autorskie i omówienia w prasie niemieckiej, nie tylko tej związanej ze środowiskiem Polonii w Niemczech. Autor, od lat związany z Niemieckim Instytutem ds. Polski w Darmstadtzie, przywołuje w swej książce liczne dane statystyczne, a także zapiski biograficzne i literackie. Loew kreśli panoramę wieloletnich związków łączących Polaków i Niemców, śledząc równocześnie przyczyny, dla których niemiecka polityka i opinia publiczna podchodziła z rezerwą (i nadal podchodzi) do fenomenu obecności polskich imigrantów.

Jak wiemy, niemal dwa miliony mieszkańców Niemiec posługuje się językiem polskim lub też pochodzi z terenów dzisiejszej Polski. Tym samym, ludzie ci stanowią drugą co do wielkości grupę imigrantów w Niemczech. Jednak jest to grupa wysoce zróżnicowana, jeśli chodzi o kwestie tożsamościowe, a więc trudno określić ją bezsprzecznie jako „polską”. Wskazując na tę niejednoznaczność samo-określenia, autor przybliża czytelnikowi fenomen Górnoszlązaków, Mazurów czy Warmiaków, którym często w sposób automatyczny przypisuje się polską przynależność narodową. Od kiedy w 1945 roku były wschodnie tereny Rzeszy przypadły Polsce, ludzie ci przybywali do Niemiec jako wypędzeni, uciekinierzy czy też przesiedleńcy. Tylko od lat siedemdziesiątych XX wieku rządzoną przez komunistów Polskę opuściło około 1,4 miliona późnych przesiedleńców, traktowanych przez władze PRL jako polityczną „masę przetargową” (czy też „przynętę”) do zdobycia zachodniemieckich kredytów.

Przy tym wszystkim warto pamiętać, że przesiedleńcy, polscy obywatele pochodzenia niemieckiego, nie wybierali drogi na Zachód wyłącznie z przyczyn ekonomicznych, ale również z powodu dyskryminacji na tle kulturowym czy językowym, z którą spotykali się w miejscu pracy czy w szkole. Oczywiście, byli wśród nich także ludzie, którzy wyrosli wyłącznie w kulturze i języku polskim, kultura niemiecka była im obca. Powołując się na stare dokumenty rodzinne podawali się za Niemców, by w Republice Federalnej móc osiąść na stałe jako równoprawni obywatele Niemiec i korzystać z przysługujących im w tej sytuacji przywilejów i udogodnień, o jakich jako azyłanci mogliby tylko pomarzyć. Jednak tożsamość większości późnych przesiedleńców, przybywających do Niemiec z Górnego Śląska czy Mazur, była wysoce złożona i przybierała formy wręcz hybrydalne.

Do dziś samoidentyfikacja tych ludzi pogranicza w najwyższym stopniu podatna jest na kontekst społeczny czy sytuacyjny, co powoduje, że możliwe są tu nawet wielokrotne zmiany tożsamości z regionalnej na narodową albo odwrotnie, najczęściej jednak mamy do czynienia z jednostkami o podwójnej orientacji kulturowej, której polskie i niemieckie elementy nie wykluczają się nawzajem, a raczej uzupełniają. To właśnie najliczniejsza „polska” grupa emigracyjna w Niemczech, która do dziś posługuje się językiem polskim (choć w drugim czy trzecim pokoleniu nie jest to już tak jednoznaczne). Język nie jest jednak w tej grupie wyłącznym wyznacznikiem tożsamości narodowej, szczególnie jeśli dotyczy osób przybyłych do Niemiec z terenów polsko-niemieckiego pogranicza kulturowego. W takich przypadkach, na co słusznie zwraca uwagę Loew, język stanowi wręcz błędną poszlakę. Dziś, podobnie jak to bywało aż do końca XIX stulecia, można posługiwać się na co dzień językiem polskim, a jednocześnie odczuwać przynależność do narodu niemieckiego. Wyraźnie pokazuje to fenomen pochodzącego z Górnego Śląska Mirosława Klozego, byłego niemiec-

kiego piłkarza i mistrza świata mundialu 2014, którego przykład Loew całkiem słusznie przywołuje w swej książce.

Z perspektywy niemieckiej Kloze uosabia integrację doskonałą, za co zresztą z rąk kanclerz Angeli Merkel otrzymał nagrodę integracyjną. Ten w historii najskuteczniejszy strzelec mistrzostw świata zagrał w 137 meczach w barwach niemieckiej reprezentacji narodowej i otwarcie przyznaje się do swej niemieckości i do Niemiec jako swojej ojczyzny. Nie przeszkadza mu to w tym, by z Lukaszem Podolskim, innym byłym piłkarzem niemieckiej reprezentacji urodzonym na Górnym Śląsku, rozmawiać po polsku (a raczej w śląskiej gwarze) i wychowywać swe dzieci dwujęzycznie. Jako Górnoszlązak, który pierwsze lata dzieciństwa spędził w Polsce, a potem dorastał w Niemczech, gdzie zrobił fenomenalną karierę, Kloze wydaje się dostrzegać zalety płynące z zachowania języka polskiego. Być może jest tak wtedy, gdy odwiedza swych krewnych w Opolu. Albo po prostu dlatego, że polski humor wyraźnie góruje nad niemieckim. Jednak wszystko to nie powoduje, by Kloze poczuwał się do związków z niewidoczną „mniejszością polską” w Niemczech. Gdy więc Loew zwraca uwagę na luki badawcze, które według niego widoczne są wszędzie tam, gdzie chodzi o *doświadczenia dnia codziennego i kwestie kulturowe* oraz takie problemy, jak *trwałość polskiej tożsamości czy tradycji w drugim albo trzecim pokoleniu polskich imigrantów*, wydaje się sensowne, by uwzględnić doświadczenia, takie jak te Klozego. Jego historia przybliży nas do wielce ciekawych wniosków.

Książka Petera Olivera Loewa to od dawna oczekiwane dzieło z gatunku tych, które nazywamy przełomowymi. To pełna niuansów, wnosząca nową jakość lektura obowiązkowa tak dla Niemców, jak i Polaków. To wreszcie praca skłaniająca do autorefleksji. Pokazująca nam wszystkim, że gdy tak mało wiemy o tych, którzy żyją wśród nas, samych siebie skazujemy na kulturowe i intelektualne zubożenie. ■